Nr. 28.

ROCZNIKI

DZIEŁA ŚW. DZIECIĘCTWA

PANA JEZUSA.



Rok VII. **Listopad.** **Zeszyt 4.**

KRAKÓW.
Wydawnictwo i nakład XX. Misyonarzy.
1890.

Dzieło św. Dziecięctwa P. Jezusa

1) ma za cel obdarzać łaską Chrztu św., a przez Chrzest św. wprowadzać do nieba umierające dzieci pogańskie w Chinach i innych krajach — te zaś, które przy życiu zostają, wychowywać w wierze katolickiej.

2) Członkami Dzieła mogą być nietylko dzieci (nawet maleńkie), ale także, na mocy przywileju Stolicy św. z d. 15 list. 1879 r., wszyscy wierni bez różnicy stanu, płci i wieku.

3) Obowiązki członków są: 1) odmówić codziennie jedno „Zdrowaś Marya“ z wezwaniem: *„N. M. Panno módl się za nami i za biednymi dziećmi pogan“*; 2) ofiarować co miesiąc 2 centy na dzieci pogańskie.

4) Z pozwolenia Stolicy apost. mogą zostać dożywotnimi członkami Dzieła i korzystać z wszystkich jego łask i przywilejów podobnie jak zwyczajni członkowie ci, którzy złożą na biedne dzieci pogan jednorazową ofiarę 50 fl.

5) Ta jednorazowa ofiara dla katolików, zostających pod rządem rosyjskim, oraz katolików zamieszkujących ziemie polskie podległe rządowi pruskiemu, wynosi tylko 7 rubli 50 kop. lub 15 marek, a to na mocy przywileju, udzielonego dla katolików zamieszkujących ziemie polskie pod rządem moskiewskim, na wieczne czasy, dla innych na lat 10 tj. do r. 1899 14 lipca. Jeżeli zaś ojciec, matka lub opiekun ofiarują podwójną opłatę, wtedy wszystkie ich dzieci aż do skończonego 21 roku mogą korzystać z odpustów i łask do Dzieła przywiązanych, byleby odmawiały codziennie przepisane modlitwy.

6) Każdy członek dostaje darmo medalik i obrazek, a każda serya z 12 członków złożona 1 rocznik na ręce zelatora. Roczniki Dzieła wychodzą co kwartał, tj. z początkiem lutego, maja, sierpnia, listopada.

7) Zelatorem jest ten, który zajmuje się zbieraniem członków, organizując dwunastki, lub jest obrany na przewodnika dwunastki. Zbiera on kolektę od swej dwunastki i pośredniczy między nią a Proboszczem lub Dyrektorem krajowym w Krakowie.

Odpusty nadane Dziełu św. Dziecięctwa

przez Papieży: Grzegorza XVI, Pius IX i Leon XIII, reskryptami z d. 17 marca i 2 maja 1846 r., 10 stycznia 1847 r., 12 stycznia 1851 r., 6 kwietnia 1856 r., 20 marca 1870 r. i 15 lipca 1882 r.

I. Odpusty zupełne.

1) Odpust zupełny dla członków słuchających tej Mszy św., która się odprawia za wszystkich żyjących członków Dzieła, w jednym z dni pomiędzy świętem Bożego Narodzenia a świętem Matki Boskiej Gromnicznej.

WSPOMNIENIE O ŻYCIU I ŚMIERCI
BŁ. JANA GABRYELA PERBOYRE.
MĘCZENNIKA.

(Ciąg dalszy).

Obowiązki i urzędy bł. Jana G.

Krótkie było życie bł. Jana Gabryela, ale żeby dosyć podnieść jego wartość i cenę, trzeba słusznie o nim powiedzieć, że w niedługim czasie przeżył lat wiele. Znaczenie życia świętych nie mierzy się jego długością. Jak rola jedna daje dziesiąty procent ze starań i zachodów około niej położonych, a druga dwudziesty: tak i na roli tego życia, jedni przez długie lata mało co zbierają i mało niosą zasług na niebo, drudzy w krótkim czasie pozostawiają po sobie niewygasłą nigdy pamięć swych czynów i dobrych przykładów i zabierają ze sobą obfity zadatek na życie wieczne. Do takich należał bł. Jan. Powołany przez Opatrzność Bożą do rodziny św. Wincentego à Paulo, sprawował kolejno urzędy: profesora, dyrektora, przełożonego i misyonarza-apostoła, a na wszystkich tych stanowiskach dawał dla współczesnych i pozostawił dla potomnych piękny i pociągający przykład cnót swego powołania. P. Jezus wskrzesił tego wielkiego męczennika jakby z ducha i kości św. Wincentego na to, aby przez niego odrodziły się i nanowo zakwitły w Kościele św. dwa Zgromadzenia: XX. Misyonarzy i Sióstr Miłosierdzia. A było tego potrzeba. Wielka rewolucya francuska rozproszyła synów i córki św. Wincentego; dom główny, błogosławionem życiem i śmier-

cią świętego uświęcony, został zabrany przez rząd, fundusze złupione, święte relikwie w poniewierce i ukryciu; zdawało się, że to cios śmiertelny dla Zgromadzenia. Ale dzieł Bożych nie są w stanie zniszczyć wysiłki ludzkie i piekielne. Wnet znaleźli się ludzie, którzy przyłożyli ręki do odbudowania Zgromadzenia, do zakładania nowych domów, do zgromadzenia rozproszonych członków, a było to właśnie w czasie, gdy bł. Jan Gabryel wstępował do seminaryum. Jak ogrodnik, gdy chce założyć ogród, naznacza najprzód dla niego pole, a potem je ogradza i przyozdabia kwiatami: tak P. Jezus, zgromadziwszy około swego serca rozproszonych synów i córki św. Wincentego, pozwolił im przedewszystkiem znaleźć podstawę swego bytu materyalnego w ofiarności ludzi dobrej woli, a potem wybrał sobie z pośród nich serce wielkie, na które zlał obfitość łask, jakby nasiona najpiękniejszych, heroicznych cnót chrześcijańskich i szczególne przywileje swego miłosierdzia, swej wszechmocy i mądrości, aby ono Mu służyło do uskutecznienia Jego świętych zamiarów i wyroków względem Zgromadzenia. Słusznie można do bł. Jana Gabryela zastosować te słowa Pana Jezusa: Ten mi jest naczyniem wybranem, aby nosił imię moje. To znamię szczególnego wybrania i osobliwego posłannictwa szło za bł. Janem Gabryelem, gdziekolwiek się obrócił i czegokolwiek się imał z woli swoich przełożonych. Przynosił on ze sobą obfitość błogosławieństwa, przynosił jakąś nadprzyrodzoną siłę pociągania wszystkich do Boga, wrażania obrazu swych cnót w serca drugich, bo jego cnoty nie budziły zazdrości, ale uwielbienie i chęć naśladowania. Zgoła szczęśliwi byli, którzy go mieli wśród siebie, którzy go dostali za swych przewodników, którzy się bodaj o niego otarli, bo on był świętym.

Saint-Flour pierwsze dostąpiło tego szczęścia. Nasz Błogosławiony posłany tam został na profesora teologii dogmatycznej w wielkiem seminaryum, a powołaniu temu mimo swej młodości odpowiedział wzorowo. Poświęcenie i sumienność, bystrość umysłu i wytrawna pobożność zbiegły się razem, aby uczynić z Jana Gabryela doskonałego profesora. Dziś jeszcze ci, którzy go pamiętają, powtarzają sobie: Azaż serce nasze nie pałało w nas, gdy mówił i pisma nam otwierał. Takie samo wrażenie wynosili słuchacze z jego konferencyj i kazań. Zamiłowany w czytaniu i w zgłębianiu pisma św. czerpał z niego nietylko wiele świętych wiadomości, ale także ducha wielkich proroków i patryarchów, który następnie przemawiał przez jego usta. „Nie zapomnę nigdy, powiada jeden z jego uczniów, prześlicznej konferencyi, którą miał do nas o miłości bliźniego. Ani przedtem, ani potem nie słyszałem już nikogo, aby tak pięknie pojął i tak porywająco wyłożył jedność dwóch przykazań: miłości Boga i bliźniego. Trudno zrozumieć, jak można w dwudziestym piątym roku życia mówić z taką dojrzałością i z taką siłą przekonania.

Koniec roku szkolnego przerwał ze smutkiem uczniów i profesorów szczęśliwe i bogate w owoce dni pobytu Jana G. w seminaryum w Saint Flour. Przełożeni przenieśli go na inne stanowisko w tem samem mieście; był to rodzaj pensyonatu duchownego, dziś przekształconego w małe seminaryum, a zawdzięczającego swoje utrzymanie i dalszy rozwój cnocie i gorliwości nowego przełożonego. Zakład ten widocznie chylił się ku upadkowi, a gdy szukano człowieka, któryby mu mógł nieść ratunek, wszystkich oczy zwróciły się na bł. Jana Gabryela. Bez chwili wachania chwycił się święty ten kapłan nowej pracy, a chociaż wiedział do-

brze, jakie otaczały ją zewsząd trudności, rozpoczynał ochoczo w imię Boże, zdając pomyślny lub niepomyślny jej wynik w ręce Opatrzności.

Wewnątrz nie znalazł żadnej karności, na zewnątrz miał zakład dużo nieprzyjaciół, którzy podnieśli teraz okrzyk radości na widok młodego i niedoświadczonego wieku nowego przełożonego. On zaś mówił często do Pana Jezusa: Panie, Ty zawsze ze mną jesteś. I był z nim Pan Jezus i dobrze mu z Nim było. Było to w końcu roku 1827. Dał mu najprzód Zbawiciel pociągnąć niemal wszystkich za sobą, przywiązać do siebie i uczniów i profesorów. Dobroć, łagodność i słodycz kazały go ukochać, a wtedy on swoją roztropnością, statecznością i stałością naginał serca do cnoty, najczęściej u stóp krzyża Pana Jezusa. Nikt w nim nie dostrzegł gniewu, zniechęcenia, nikt tem bardziej popędliwości, gorliwości niewczesnej, która jak burza wszystko, co jej opór stawia, łamie i niszczy. On pokonywał, poprawiał i wykorzeniał wady miłością i cierpliwością, nie tą, która na wszystko patrzy obojętnem okiem, ale tą, która w upominającej i karzącej ręce daje widzieć najlepsze ojcowskie uczucia, szukające tylko szczęścia i dobra tego, którego się upomina. Łaskawość i słodycz jego charakteru, odejmowała wszelką odrażającą cierpkość i naturalny wstręt, jaki niesie ze sobą każde upomnienie, a nie pozbawiała go mimo to swej siły i skuteczności zapewnionej znowu powagą i stałością upominającego. Kiedy zaś znalazł serce, którego żadne przestrogi i upomnienia nie mogły zwrócić z złej drogi — wiódł je pod krzyż, aby tam niejako oddać w opiekę temu, który jest Panem serc ludzkich i który je wedle upodobania może przemieniać. P. Jezus był w tych wypadkach jakby na usługi bł. Jana Gabryela. „Nie wiem, co się dziś ze mną stało,

tak nadzwyczajnie wpłynął na mnie X. Perboyre, mówił pewnego razu jeden z jego uczniów, który dużo zawinił; byłem w jego pokoju, upominał mnie, nagle zwróciwszy się do krzyża, z tonem dziwnej boleści, przekonywującym, rzekł do mnie: Ach, chłopcze, ty stałeś mi się dzisiaj powodem bolesnych chwil u stóp krzyża P. Jezusa.“ Inny znów wyznawał później: „Kiedy spowiadałem się przed nim, zdawało mi się, że nie przed człowiekiem stoję, ale przed aniołem, zdawało mi się, że on przenika moje myśli.“

Pod działaniem takiego mistrza przybrał wnet zakład inną postać. Liczba uczniów z 30 wzrosła do 100, a między nimi zakwitła wzajemna miłość, zamiłowanie pracy, czystość obyczajów, szacunek dla profesorów, od których bł Jan Gabryel również domagał się cnoty, poświęcenia i sumienności w spełnianiu swych obowiązków. Szczęśliwy był, kto się dostał pod kierownictwo tego świętego, kto chociaż rok przepędził w Saint Flour, wynosił ztamtąd na całe życie błogie wspomnienia. żywe przykłady cnót, wreszcie zadatek opieki bożej, którą bł. Jan Gabryel gorąco a często ze łzami wypraszał u Boga dla swych wychowanków. Tak upłynęło z górą 5 lat. Cieszyli się wszyscy, że mają wśród siebie taki skarb, profesorowie, uczniowie i ich rodzice, gdy w tem z końcem wakacyj 1832 r. wzywają przełożeni bł. Jana Gabryela do Paryża na urząd subdyrektora seminaryum domowego, t. j. nowicyatu XX. Misyonarzy. Wszystkich ogarnął smutek, łzy obfite uczniów i rodziców dały świadectwo przywiązania i miłości, jaką sobie zjednał ustępujący przełożony.

Nowy urząd rozpoczął bł. Jan Gabryel aktami pokory. Uniżając się przed Bogiem, prosił o dar mądrości potrzebnej do prowadzenia drugich po drodze cnoty i doskonałości. Półtrzecia roku wi-

dzimy go przy tem zajęciu, a chociaż z urzędu miał tylko zastępować dyrektora, w istocie spoczywała na nim cała troska o wykształcenie przyszłych kapłanów i Misyonarzy, bo dyrektor był już stary, słaby i niedołężny. Dla każdego z osobna miał całe serce, o każdym pamiętał, jakby miał jednego, bo o każdym miał przekonanie, że mu został zlecony i powierzony przez samego Jezusa Chrystusa. Tchnął on w swoich seminarzystów ducha św. Wincentego, którego był pełnym, a ci, co z pod niego wyszli, którzy się na nim i na wzorze jego cnót kształcili, wyrośli na wielkich Misyonarzy i kapłanów pełnych gorliwości o chwałę Boga i zbawienie bliźnich. Co zaś najwięcej uderzało w błogosławionym Janie Gabryelu tych, którzy żyli blisko niego i pod nim, to rzewna cześć, jaką żywił dla męczenników za Chrystusa poległych i gorące pragnienie pójścia w ich ślady.

Wyjazd do Chin i prace apostolskie.

Prace bł. Jana Gabryela w ziemi rodzinnej były wielkiej doniosłości, ale właściwem polem jego działania były Chiny; on, można powiedzieć, dla Chin był stworzony Śmierć męczeńska na ziemi chińskiej za Chrystusa, za wiarę, miała go wsławić i wielkim uczynić, a on nawzajem swoją śmiercią miał tę ziemię ubłogosławić, użyźnić, dla niej łaskę wiary i zbawienia wyjednać krwią własną, aby z niej jak z nasienia wyrosły przyszłe pokolenia chrześciańskie. To było główne posłannictwo zakreślone bł. Janowi Gabryelowi przez Opatrzność Bożą; koło niego snuje się całe jego życie, do jego spełnienia przygotowuje go Bóg od dziecinnych lat.

Już w 15 roku życia skłoniło go pragnienie opowiadania wiary świętej i przelania krwi za P.

Jezusa, do opuszczenia domu rodzinnego i podjęcia nauk; to samo pragnienie wprowadziło go w progi XX. Misyonarzy. Sam o tem mówił poufnie do jednego z seminarzystów: „Już 14 łat, kiedy po raz pierwszy prosiłem o pozwolenie udania się do Chin. To powołanie czułem w sobie jeszcze przed powołaniem do Zgromadzenia, tylko dla jego spełnienia wstąpiłem do św. Łazarza“ *). P. Jezus pchał go wewnętrznie do tej misyi i rozpalał w nim to powołanie, o czem wiedział dobrze bł. Jan Gabryel i dlatego niczego nie zaniedbał, aby mu odpowiedzieć. Ale ten sam Pan, który wzywał, stawiał też trudności na pozór nie do przełamania. Przełożeni proszeni przez bł. Jana Gabryela o spełnienie jego gorących próśb, odpowiadali zawsze tak samo: że jest za słaby, że nie zniósłby trudów podróży — pozwolić byłoby to narazić go na niechybną śmierć, jak się to stało z jego bratem Ludwikiem, chociaż o wiele silniejszym, że zresztą we Francyi jest dosyć pola do pracy. Mijały dni, tygodnie i lata, a nic nie wróżyło pomyślnego stanu rzeczy, nic się nie zmieniło w trudnem położeniu; tylko św. męczennik coraz częściej wylewał swe serce przed Bogiem, coraz goręcej i dłużej się modlił i prosił. Nareszcie z początkiem roku 1835 spostrzegli seminarzyści na twarzy swego dyrektora jakieś niezwykłe zaniepokojenie, coś bardzo ważnego musiało jego duszę zajmować. Wysyłano kilku Misyonarzy do Chin, ale w ich liczbie nie było X. Perboyre'a. Idąc za natchnieniem z nieba, biegnie nasz Błogosławiony do przełożonego generalnego, X. Salhorgne, rzuca się na kolana i prosi, aby już dłużej nie opierano się jego prośbom. Odpowiadają mu jak zwykle — odniesiono się wreszcie do lekarza o poradę, ale

*) Jest to główny dom Zgromadzenia w Paryżu.

ten stanowczo się oświadczył przeciw takiej podróży. Znikła więc ostatnia nadzieja, na ziemi go nie wysłuchano. Wtedy bł. Jan Gabryel zwraca się z swą prośbą ku niebu, podwaja gorącość modlitwy, prosi o przyczynę i wstawiennictwo N. M. Panny — a była to właśnie wigilia święta Oczyszczenia — i oto nazajutrz rano przybiega lekarz, aby po nocy bezsennej w niepokojach i jakichś niezwykłych udręczeniach sumienia przebytej oświadczyć, że jeśli sumiennie chce postąpić, musi wyznać, iż X. Perboyre nie jest do tyla słaby, aby nie mógł przebyć zamierzonej podróży, że owszem może ona dobrze wpłynąć na jego zdrowie. Trudno było nie widzieć w tem wyraźnej woli bożej, dlatego przełożeni nie sprzeciwiali się już więcej.

Ale któż opisze szczęście, jakie przyniosła ta wiadomość św. męczennikowi. Pobiegł do kościoła i tysiączne dzięki składał Bogu za tak wielką, niewymowną łaskę. Wezbrane do najwyższego stopnia uczucia jego wdzięczności, wstępowały całą falą ku niebu — już, już widział przed sobą ukochaną ziemię, cel tyloletnich pragnień, koronę męczeńską, Chrystusa zapraszającego go do siebie: „Pójdź sługo dobry i wierny;“ a kiedy te uczucia zetknęły się w głębi jego serca, z przeświadczeniem własnej nędzy i nicości, wtedy jego dusza stała się widowiskiem dla nieba, przedmiotem szczególnego upodobania i miłości Boga, bo działo się w niej coś, czego opisać, wymówić niepodobna, co tylko w części daje się odczuć.

Tymczasem zbliżała się chwila wyjazdu. Bł. Jan Gabryel przygotowywał się do niej skupieniem ducha i spowiedzią z całego życia; teraz trzeba było dać ostatnie pożegnanie swoim seminarzystom. Wszyscy oczekiwali w milczeniu z boleścią i niecierpliwością, jaki też będzie ostatni wyraz jego miłości. X. Perboyre wszedł do sali, opowiada je-

den z naocznych świadków, z twarzą rozpromienioną, na której jednak znać było walkę wewnętrzną rozstania się z tymi, których kochał niezmiernie i od których nawzajem był kochany. Przemówił, ale zaledwie wymówił parę słów, zamilkł; serce wezbrało nietyle boleścią rozstania, ile uczuciem swej nędzy; godny syn św. Wincentego upadł na kolana w środku sali i drżącym głosem prosił obecnych o przebaczenie zgorszeń, jakie im dawał i wszystkich uchybień, jakich się względem nich dopuścił. Zdumieni widzowie tej sceny, prosili go przynajmniej o błogosławieństwo; wymawiał się od tego, czując się niegodnym, by błogosławić — aż miłość przemogła i pobłogosławiwszy ich, opuścił salę. Jego pokora jeszcze raz przed odjazdem była wystawiona na podobne doświadczenie, kiedy wszyscy członkowie Zgromadzenia, a na ich czele przełożony generalny pomimo swego wieku i słabości, zgromadzili się około Błogosławionego, aby go uściskać po raz ostatni i polecić się jego modlitwom i pamięci przed Bogiem, na wzór pierwszych chrześcian, którzy w ten sposób żegnali męczenników idących na śmierć. Wreszcie oddawszy pokłon Najśw. Sakramentowi, wezwawszy na pomoc N. M. Panny, św. Józefa i św. Wincentego, puścił się błog. Jan Gabryel w drogę do Havru, zkąd miał popłynąć do Chin, aby już z nich więcej nie wrócić

W Hawrze stanął 15 marca 1835 r. W pięć dni potem, w sobotę, zstąpił z brzegów Francyi na pokład statku dążącego do wyspy Jawy, a z nim podejmowało tę samą podróż dwóch konfratrów i pięciu księży z Misyj Zagranicznych. Droga była długa i uciążliwa. Z początku silny wiatr tak szamotał statkiem, że nasi podróżni zmęczeni i znużeni, ulegli w wysokim stopniu chorobie morskiej. Przyszedłszy do zdrowia, podzielili czas między

ćwiczenia duchowne i naukę, zwłaszcza języka chińskiego, a spokój wód morskich pozwolił im kolejno, niemal w każdą niedzielę i święta odprawiać Msze święte. „O, cóż to za szczęście, pisze bł. Jan Gabryel w swoim liście do Francyi, gdy na tem wielkiem przestworzu wód, można się znaleźć w towarzystwie naszego Zbawiciela.“ A w liście do brata swego mówi: „Dawniej nie mogłem myśleć o podróży po niezmiernych przestrzeniach wód morskich bez jakiejś wewnętrznej trwogi; od czasu, kiedy wsiadłem na statek, ani rozległość, ani głębokość przepaści morskiej, ani szalone fale morza, nie budzą we mnie najmniejszej obawy. Podobnie nam będzie, kiedy staniemy przed nieskończonym majestatem Boga, zakosztujemy tam spokoju, nigdy przedtem nieznanego.“ W dzień Wielkiejnocy, 19 kwietnia, przejeżdżali przez równik, a w miesiąc później opłynęli bez trudności przylądek Dobrej Nadziei. W kilka dni potem na Oceanie indyjskim nastręczyła im się sposobność wielkiej ufności i zaofiarowania swego życia w ręce Opatrzności. Ostatniego maja wszczęła się wielka burza morska; sam kapitan okrętu oświadczył, że od 36 lat swego życia na morzu, nie widział jeszcze tak rozszalałej burzy. Bałwany wzniesione siłą uraganu po nad wysokość maszt, spadały na pokład, przerzucając ludzi i sprzęty niedość umocowane jak piłką z jednej na drugą stronę. Raz odrywają przyczepioną łódź i gubią ją we falach wód; to znów zagłębiają statek, jak gdyby go już chciała pochłonąć roztwierająca się przepaść, a potem uderzając w sternika, odrzucają go o kilkanaście kroków, cudem tylko uratowanego. Przez 12 godzin trzeba było stać w ciągłem pogotowiu z najwyższą przytomnością umysłu, aby dawać możliwy opór szalejącym żywiołom, a przez cały ten czas zostawali wszyscy w największej niepe-

wności życia lub śmierci; misyonarze modlili się. Pod wieczór odmówili wszyscy wspólnie litanią do N. M. Panny, Gwiazdo morza i o Marya bez grzechu poczęta, a burza zwolna ustawać poczęła. Z serca bł. Jana Gabryela wyrywała się nie bojaźń, ale uwielbienie dla Boga; w liście swym woła na ten widok z Psalmistą: Dziwne nawałności morskie, dziwny na wysokościach Pan. Nie zginął ani jeden człowiek, okręt mógł popłynąć dalej, bo te dziwne nawałności morskie jakby przeczuły, że statek, nad którym piętrzyły się, wiózł sługę Najwyższego Pana, który skinieniem swej woli uspakajał burzę i zakreślał granice morzu. Panie, Ty ze mną zawsze jesteś.

W trzy miesiące po opuszczeniu Francyi, dobili misyonarze do wyspy Jawy, a zatrzymawszy się tu przez miesiąc, za pierwszą daną okazyą, puścili się ku granicom państwa chińskiego i z niewymowną radością wylądowali w Makao w sobotę 29 sierpnia 1835 r. Przybycie bł. Jana Gabryela napełniło wszystkich misyonarzy weselem i tchnęło w nich nową otuchę. Znali go oni już po części lub słyszeli o sławie jego cnót, a mając wysokie o nim wyobrażenie, uważali go jako męża przez miłosierdzie i Opatrzność Bożą do tych ziem przysłanego. W Makao mieli XX. Misyonarze swoją stacyę misyjną, wyszli więc gromadnie naprzeciw niemu i przyjmowali go niemal z rodzajem pewnego uwielbienia, za co on następnie budował ich przykładem swych wzniosłych cnót i swej niezwyciężonej gorliwości. Zabawił tu przez dłuższy czas, nie dla wypoczynku, ale żeby się poduczyć obyczajów i języka chińskiego bardzo zresztą trudnego, do czego z taką przykładał się usilnością, że już w parę miesięcy mógł jako tako nim władać. Teraz więc trzeba było iść na miejsce swego przeznaczenia, była to prowincya Ho-Nan, zalu-

dniona blisko 25 milionami dusz. Podróż rozpoczęła się 21 grudnia i trwała niemal bez przerwy bądź morzem bądź lądem, 8 miesięcy. Trudno wypowiedzieć, ile w tym czasie przecierpiał błog. męczennik, ile zniósł trudów i niewygód, niewczasu i głodu, zimna naprzemian upału i słoty; było to pierwsze jego męczeństwo nieuwieńczone wprawdzie śmiercią, ale niemniej długie i bolesne. Aby nie wpaść w ręce policyi państwowej, trzeba było iść najczęściej nocami, po 8 do 10 mil naraz, przechodzić wpław rzeki, spinać się po najwyższych górach, bo na ich szczycie oczekiwały na bł. kapłana osady chrześcian, którym on niósł posługi duchowne, a wziąwszy z pośród nich nowych przewodników, szedł dalej. Czasem upadał z osłabienia, omdlewał, radby był, jak pisze, zębami się trzymać; czasem poraniony, stłuczony, przemoknięty, szedł jakby bez czucia, pchany siłą woli; szedł, bo trzeba było iść, bo na tej ziemi, na której grunt z pod nóg się usuwał, niewszędzie można było być bezpiecznym, lub znaleźć spokojny przytułek. A gdy szedł, serce wznosiło się do Boga, a myśl jego mówiła: Cóż to jest Panie, wobec tego, coś Ty dla nas uczynił, o gdyby to choć jednę duszę Tobie wrócić, pozyskać na tych manowcach, więc biegł, bo mu było spieszno na miejsce swego przeznaczenia, na pole walki i tryumfu Znużony brakiem apetytu, wycieńczony, dotarł do Ho Nan, ale z nadmiaru zmęczenia przykuła go ciężka choroba do łoża, które stanowiła rogoża na ziemi rozesłana. Udzielono mu ostatnich św. Sakramentów, wszyscy stracili nadzieję, boleść chwyciła za serce chrześcian i misyonarzy i oto po 3 miesiącach powstaje bł. Jan Gabryel, bo jeszcze nie nadszedł czas nagrody i chwały.

W okręgu oddanym pieczy bł. Jana Gabryela, znajdowało się 1500 chrześcian, zamieszkałych

w 20 osadach tak rozrzuconych, że trzeba było przebyć 300 mil, aby wszystkie zwiedzić. Więc znów rozpoczyna święty Misyonarz sześciomiesięczną podróż, poświęconą odwiedzaniu chrześcian. Od osady do osady, od domku do domku, już to idzie, już jedzie, w lecie obsypany kurzem, spalony promieniami słońca, tak, że mu skóra z twarzy i szyi schodziła, w zimie pokryty szronem, jakby osiwiały. Udziela świętych Sakramentów, chrzci i spowiada, zaopatruje chorych i leczy ich jak dobry ojciec; uczy katechizmu, rozszerza cześć ku N. M. Pannie, a zwłaszcza ku Tajemnicy Jej Niepokalanego Poczęcia, a nowo objawionym medalikiem cuda działa. Ołtarz trzeba było najczęściej ustawiać w cieniu drzew i sprawować najśw. Ofiarę pod sklepieniem nieba, a wtenczas bł. Jan Gabryel słał serce swoje u stóp P. Jezusa w miejsce ozdób pięknych i bogatych; wtenczas myślą swoją obejmował cały obszar ziem pogańskich i niósł je nowonarodzonemu Panu w ofierze i wylewał za nie łzy i prosił i żebrał. W czasie swych misyj i wizytacyj, wystawiony był na największe dokuczliwości nędzy i ubóstwa. Za schronienie służyły mu ciemne szałasy, bez okien i komina, tak, że rozniecony ogień dymem swoim gryzł mu oczy i oddech tamował.

Głód swój zaspokajał odrobiną ryżu i korzonkami na wodzie zagotowanymi bez żadnej przyprawy; sen znajdował go na gołej ziemi lub w najlepszym razie na desce matą przykrytej, usta nieraz schły od pragnienia — a poczytując to wszystko za niedostateczną pokutę za swoje i drugich grzechy, dodawał sobie własnych umartwień. Ostrą dyscypliną karcił ciało, biodra przepasywał żelaznym łańcuchem, a na ciele nosił twardą włósiennicę.

Wśród takiej pracy i takich umartwień zbiegło

św. Misyonarzowi ośmnaście miesięcy, gdy w końcu roku 1838 odwołują go przełożeni z prowincyi Ho Nan do prowincyi Hou-Pé. Tutaj praca przybrała trochę inną postać. Okręg powierzony jego pieczy wynosił tylko cztery mile kwadratowe, zamieszkałe przez dwa tysiące chrześcian, a w pośrodku mieli swoją osadę XX Misyonarze i kościółek, do którego zbiegało się zawsze mnóstwo chrześcian po radę, naukę, spowiedź i inne Sakramenta św. do swoich ojców duchownych. Ale oprócz tego i ztąd podejmował bł. Jan Gabryel dalsze wycieczki do sąsiednich okręgów, w których chrześcianie mogli tylko od czasu do czasu ujrzeć kapłana, a brak ten dotkliwie uczuć się dawał. Za to Bóg widocznie błogosławił jego pracom; bardzo wielu się nawracało niewiernych, odstępcy powracali na łono wiary św , oziembli nabierali nowej gorliwości, męztwo pierwszych męczenników Kościoła wstępowało w nowych chrześcian. Tymczasem zawód bł. męczennika zbliżał się ku końcowi. Jeszcze jedno doświadczenie miało go ostatecznie dla nieba przygotować, była to straszna pokusa rozpaczy, która ogarnęła jego duszę, jak czarna noc, oddalając od niego wszystko, co mu było dotąd w jego trudach przedmiotem wesela i pociechy. Zdawało mu się, że imię jego wymazane jest na zawsze z księgi żywota, że przeznaczony jest na potępienie, że niema już dla niego miłosierdzia u Boga. Modlił się — ale modlitwa nie przynosiła mu ulgi, u stóp krzyża było mu ciężko, najśw. Ofiara stała mu się udreczeniem. Taki bolesny stan duszy nie pozostał też bez wpływu na jego słabe ciało: sen go odleciał, stracił apetyt, niknął w oczach. Ciężkie te chwile w jego życiu były jakby uczestnictwem tęsknoty i konania Chrystusa w Ogrojcu, z tą tylko różnicą, że nie anioł, ale sam Zbawiciel przybył mu z pociechą i ratun-

kiem. Pan Jezus na krzyżu ukazał się bł. Janowi Gabryelowi a spoglądając na niego wzrokiem pełnym niewypowiedzianej dobroci i łaskawości, przemówił: „Czego się lękasz? czyż nie umarłem za ciebie? włóż rękę twoją do rany boku mego a nie trwóż się więcej.“ Widzenie znikło a błogi pokój ogarnął duszę błogosławionego męczennika i nie opuścił jej już do końca życia, nawet wśród najstraszniejszych męczarni. *(Dok. nast.)*

KORESPONDENCYE Z MISYJ.

Wyjątek z listu X. Blettery w Su-Tchuen wschodniem do Stowarzyszonych Dzieła św. Dziecięctwa.

Wiadomo powszechnie, że Chińczycy nie odznaczają się stanowczością i wytrwałością charakteru, który jednak pod wpływem wiary i dobrodziejstw łaski ulega nieraz cudownym zmianom. Na dowód przytoczę tu przykład, godny, aby był postawiony obok heroicznych czynów pierwszych chrześcijan i męczenników Kościoła św.

Pani Tchung-onang che, zamieszkała w Sutchuen, posiadała bardzo znaczny majątek. Ponieważ miała same córki, idąc za chińskim zwyczajem, adoptowała sierotę, aby mu zostawić imię i majątek. Wśród tego słyszy o naszej religii, wierna głosowi łaski, zostaje chrześcianką. Ale to mało dla niej, że weszła na prawdziwą drogę, pragnie widzieć na niej całą swoją rodzinę. Rozwija zatem cudowną prawie gorliwość, aby nawrócić córki już zamężne i ich dzieci. Najmłodsza z tych córek weszła w rodzinę bardzo w tym

kraju szanowaną. Z małżeństwa tego miała dwie córki i syna, który się urodził już po śmierci ojca. Babka ich, jakkolwiek świeżo ochrzczona, była pełna wiary i cała oddana na dobre uczynki, a to z takim zapałem, że we wszystkich budziła podziw. Dosyć było być chrześcianinem, aby drzwi jej domu gościnnie się otwarły a serce z pomocą śpieszyło. Bóg błogosławił jej pracy i otrzymała odeń wiele nawróceń tak przykładem, jak i trudem zyskanych. W liczbę tę wchodziły jej córki i wnuczki. Babka postanowiła zająć się wychowaniem dwóch najmłodszych wnuczek, aby je wcześnie wyćwiczyć w pobożności. Obdarzone szczęśliwą naturą, a uprzedzone łaską Bożą, obie te dzieweczki pięknie się rozwijały pod kierunkiem babki i wkrótce zadziwiały świat swoją niewinnością, pobożnością i intelligencyą. Starsza z nich, Magdalena, miała lat ośm, a siostra jej Marya sześć załedwie, gdy uczyniły ślub czystości. W następnym roku utraciły biedne matkę.

Odtąd rozpoczęło się dla nich życie pełne bolesnych doświadczeń, Bóg bowiem zawsze doświadcza dusze wybrane, które do chwały wiecznej przeznacza. Wujowie ich, poganie, i pełni zajadłości ku chrześciańskiej wierze, zażądali powrotu siostrzenic, i użyli wszelkich sposobów, aby niewinne ich serca zepsuć i zbrudzić. W tej myśli sprowadzali dla nich pogańskich nauczycieli, którym zamiary swe jasno wyłożyli. Mimo to jednak, tak Magdalena, jak i Marya, robiąc postępy w naukach świeckich, nie zaniechały pobożności, jak to czyniły pod kierunkiem babki. Nabrały tylko wielkiej biegłości w literaturze, poezyi i tych naukach, które program obejmował. Chodziło o to głównie wujom, aby porzuciły chzześciańską religię: dotąd nic nie zyskali, przeciwnie musieli patrzeć, jak obie siostrzenice w miarę nabytych

nauk utrwalały się w nienawistnych im przekonaniach. Oburzeni do gruntu tym ciągłym uporem, postanowili wydać starszą z nich za mąż; zaręczyny odbyły się natychmiast z pewną pogańską rodziną; co zaś do młodszej, spodziewali się, że oddalona od siostry, łatwo się do ich woli nakłoni.

Przyszły mąż Magdaleny należał do arystokracyi miejscowej. Mając zaledwie lat 15, zdał egzamin i nosił gałkę doktorską. Rodzice widzieli w nim całe swe szczęście, uważali zatem, że trzeba ślub odłożyć aż do zupełnego wyzwolenia młodzieńca, aby go tem uroczyściej obchodzić. Ludzie mieli swoje zamiary, ale i Bóg miał swoje; nie zapomniał On, że Magdalena dzieckiem jeszcze będąc, złożyła mu czystość w ofierze; wiedział, że dziś oprócz Niego nie ma nikogo na świecie, pospieszył zatem z ratunkiem, zabierając młodego człowieka, z którym zaręczoną była.

Wujowie nowe czynią usiłowania i nowych używają sposobów, ażeby pozyskać młode dziewczęta i wiarę ich osłabić. Ale wszystko nadaremnie; obie gardzą zarówno obietnicami, jak groźbą i okrutnem obejściem się z niemi; nie obawiają się nawet oświadczyć, że gotowe są umrzeć a wiary swej nigdy nie zmienią, i że poniosą najstraszniejsze ofiary, byle zbawić dusze. Takie zachowanie się oburza całą rodzinę. Magdalena, jako najstarsza, staje się przedmiotem ich nienawiści, tem więcej, że uczucia swoje zaszczepia w sercu brata, który już zaczyna podrastać. Nie widzą innego sposobu, jak tylko wydać ją za mąż. Wybór ich pada na syna mandaryna, którego uczucia względem religii chrześciańskiej aż nadto są znane. Tam, pod despotyczną ręką męża, zdala od wszelkich stosunków z chrześcianami, można się będzie

spodziewać zwycięstwa nad tym niesłychanym uporem.

Dzień wesela już był niedaleko, myślano już o stosownych przygotowaniach, a obie siostry ciągle jeszcze napawano goryczą. Prześladowania bliskich krewnych straszniejsze stokroć są dla serca od prześladowań nieprzyjaciół lub obcych. Gdyby przynajmniej wolno im było odwiedzić chrześcijańskich swych krewnych lub przyjaciół, którychby mogły prosić o radę i znaleść trochę pociechy, ale niestety, strzeżono je jak więźniów.

Trudno opisać, co się działo z Magdaleną na myśl tak bliskiego już wesela! Co czynić? Udało im się przesłać list do jednego z księży, który zwiedzał tę miejscowość; proszą go o radę a jednocześnie układają plan tajemnej ucieczki z domu wujów. Ksiądz nie pochwalił tego zamiaru, niepodobna go było wykonać a próba rozdrażniłaby wujów jeszcze bardziej i pogorszyła prześladowanie. Cóż zatem robić? Więc już żadnej nie ma nadziei? Krewni, których nienawiść powiększała się w miarę ich stałości, podwajają usiłowania, aby je zachwiać. W oczach dziewcząt, wydanie jednej z nich za syna mandaryna było hańbą dla całej rodziny. Wujowie nową im walkę gotują, zdjąwszy z nich ubranie, (a było to w październiku), każą im klęczeć w wilgotnem i ciemnem micjscu, póki się nie wyrzekną chrześciańskiej wiary.

Była to ostatnia próba, obie dojrzały już dla nieba; Bóg miał je nagrodzić za wierność w postanowieniach. Czy to wskutek zimna, czy zmartwienia i umęczenia zachorowały, jak się zdawało, niebezpiecznie. Szczęśliwe, że Bóg położy koniec ich cierpieniom i do siebie zawoła, nie przestawały dziękować Mu i prosić, by je zabrał do nieba. Daremnie sprowadzają doktorów i lekarstwa,

nie ma sposobu nakłonić je do przyjęcia ich, bo obie nie życia, ale śmierci pragną. Widząc, że lada dzień mogą umrzeć, pragną księdza, aby się mogły wyspowiadać. Zamawiają go sobie, ale niepodobna mu było dostać się do nich; posłał im jedynie chrześciańską kobietę, aby je wzmocniła na drogę śmierci.

Młodsza umarła pierwsza. Na zmarłem ciele jaśniał blask chwały, której używała w niebie. Zdawało się, że nie umarła, ale leży uśpiona; miała lat ośmnaście.

Choroba starszej nie dawała również żadnej nadziei; krewni uciekają się do wszelkich możebnych i niemożebnych środków. Przywołują nowych lekarzy i wróżbitów, aby śmierć odegnali. Magdalena, pragnąc się połączyć z siostrą, z równym wstrętem przyjmowała lekarstwa i gusła, któremi ją otaczano. Przyszła nareszcie oczekiwana chwila: oddała piękną swą duszę Zbawcy, którego tak odważnie umiała ukochać. Zmarła mając lat 21.

Gdzie obie siostry zaczerpnęły tę silną wiarę i to niezachwiane wytrwanie? W Chinach, gdzie kobiety uważają za niewolnice, gdzie żadna dziewczyna nie odważyłaby się stawić rodzinie oporu. Wyjąwszy lat dziecinnych, spędzonych przy babce, nie miały żadnych stosunków z chrześcijanami, nie bywały na żadnych naukach, może nawet nie posiadały książki do modlitwy. Jakimże-by nie zajaśniały przykładem, gdyby odebrały to wychowanie, jakiego używają ich towarzyszki?

Oto sen Magdaleny i jej brata na cztery dni przed śmiercią: Jednej i tej samej nocy ujrzeli drabinę jednym końcem przypierającą do drzwi pokoju chorej, a drugim do nieba. Drabina ta miała dziesięć stopni, a na każdym wyrastał kwiat przedziwnej piękności; u góry drabiny jaśniały trzy gwia-

zdy, z których jedna wyróżniała się jeszcze szczególniejszym blaskiem.

Młody człowiek patrząc na cichą śmierć sióstr swoich, bardzo się tym snem zaniepokoił i coprędzej opowiedział go księdzu. „Bądz dobrej myśli, mój przyjacielu, siostry twoje są w niebie, czyń co możesz, aby się z niemi połączyć. Drabina, to droga do nieba; stopnie jej, to dziesięć bożych przykazań; zachowaj je wiernie a i ty wstąpisz po niej do nieba. Kwiaty wyrastające na każdym stopniu, to cnoty właściwe przykazaniom, a trzy gwiazdy, to, ufam, korony dla was w niebie przygotowane. Twoja starsza siostra najbardziej cierpiała i walczyła, dlatego korona jej najpiękniejsza".

Młody człowiek odszedł zadowolony. I on pozostaje pod opieką srogiego wuja; jego ciotka to istna złośnica; aby uniknąć prześladowań, musi spełniać w tajemnicy obowiązki chrześcijanina. W styczniu przyjechał do Tehang sin zdawać egzamin; korzystał z tego, aby się ze mną widzieć. Czekałem go z dnia na dzień, ale napróżno. Przyszedł wreszcie i przyznał mi się, że nie mógł wcześniej, bo wuj ciągle go szpiegował i chciał wiedzieć, gdzie się obraca Na szczęście w tym dniu musiał się wydalić.

Kara boża dotknęła już prześladowców; dwóch wujów umarło, nieszczęśliwy proces zniszczył w kilku miesiącach cały majątek tego, który jeszcze żyje.

Nie sądźcież jednak, aby Magdalena i Marya były wyjątkiem wśród chińskich dziewcząt, które wiarę świętą przyjęły; codzień prawie pojawiają się takie wyjątki. Jest w Chinach zwyczaj układać małżeństwa, gdy dzieci jeszcze w kolebce, czasem nawet przed ich urodzeniem. Kilka z naszych dziewcząt znalazło się w takiem położeniu przed swojem nawróceniem. Jeżeli cała rodzina się

ochrzci, rodzice niechętni są oddaniu córki w pogańskie ręce, a i same dziewczęta opierają się temu. Opowiadano mi niedawno o jednej dziewczynie, którą narzeczony, nie chcąc jej uwolnić, przywołał przed mandaryna. Na zapytanie dlaczego nie chce dotrzymać obietnicy ojca, podała mu przyczynę z wielką prostotą i rozsądkiem i tak zakończyła: „Mogą zanieść trupa mego do twego domu, ale synową tej rodziny nigdy nie zostanę“. Zdziwiony mandaryn pożegnał ich kilku słowy, zachęcając do zgody, ale nic nie uczynił, aby złamać opór dziewczyny.

Składając szanownym Panom wyrazy głębokiego szacunku i wdzięczności od wszystkich misyonarzy,

zostaję wdzięcznym i pokornym sługą

X. S. Blettery.

Misyonarz apostolski (Prowikaryusz).

List Biskupa Caodon w Maïssour, do Dyrektora świętego Dziecięctwa.

Bangalore, 13 listopada.

Wielebny Księże Dyrektorze!

Zamierzyłem wam opowiedzieć historyę, która bez wątpienia, tak mi się zdaje, zainteresuje członków świętego Dziecięctwa, jakkolwiek bohater mego opowiadania nie jest wyłącznie z grona małych Indyan, pod ich opieką pozostających. Przed kilkoma laty chrześcianie w Dassapoora otworzyli szkołę, dla której wybrali nauczycielem młodego Bramina, poganina, syna *Shanaboga*, nauczyciela wiejskiego. Z urzędu swego nauczycielskiego był

obowiązany nietylko nauczać pisania i czytania języka krajowego, ale także i pacierza. Podczas spełniania tego ostatniego zadania, uczuł pierwsze powołanie łaski. Wzniosły język, jakim chrześcianie do swego Boga przemawiają, przypadł mu do serca. Dla lepszego zrozumienia prosił kapłana o książki, zawierające wytłómaczenie ich znaczenia. To czytanie rozjaśniło jego umysł i roznieciło iskrę pragnienia w sercu wyznawania nauki chrześciańskiej. Czekając sposobnej chwili, nikomu swoich zamiarów nie wyjawiał, a co rano i wieczór odmawiał znane mu pacierze; nadto kilka razy dziennie pozdrowienie anielskie powtarzał, albowiem ta modlitwa właśnie szczególną mu pociechę sprawiała. Ale i Matka Najświętsza nie pogardziła modlitwą swego wiernego sługi, poganina. Pewnej nocy (sam to później opowiadał) Najświętsza Panna ukazała mu się, zachęcając go do wytrwania w zamiarze przyjęcia nauki chrześciańskiej. Czy spał? Czy był zbudzony? Tego nie umiał sam powiedzieć, ale czuł dobrze, że to niebieskie objawienie niewypowiedzianą radością napełniło jego duszę. Rozpytuje się więc pomiędzy chrześcianami, gdzie mieszka Biskup, którego przed niedawnym czasem widział w Dassapoora, ale w wielkiej trzymał tajemnicy swoje zamiary przed rodziną, która byłaby raczej wolała zadać mu śmieć, jak zezwolić, ażeby jeden z jej członków przyjął chrześciaństwo. W dwa tygodnie po pierwszem ukazaniu się, Najświętsza Panna powtórnie mu się objawiła. Lecz tym razem wymawiała mu opieszałość, brak stanowczości i bojaźliwość, a kończąc zaleciła niezwłocznie puścić się w drogę. — „Ale dokąd?“, zapytał młodzieniec zakłopotany. — „Do Bangalore! była odpowiedź.

Nazajutrz, z brzaskiem dnia udał się do Dassa-

poora i zawołał ubogiego chrześcianina, żebraka, tuż przy kościele mieszkającego. — „Czy znasz, zapytał go, drogę do Bangalore?“ — „Tak, panie!“ odpowiedział żebrak. — „Czy chcesz mnie tam zaprowadzić? Niczego ci w drodze nie zabraknie“. — „Dobrze panie, pójdę z tobą“. „A więc, odpowiedział nasz młodzieniec, pójdź za mną, albo raczej, idź przedemną, lecz nie mów nikomu dokąd idziemy“. Biedny parias zebrał się, wziął laskę podróżną i puścił się w drogę, przewodnicząc Braminowi, a niezawodnie dusza jego dręczoną była niedowierzaniem, albowiem Braminów od pariasów przedziela niezgłębiona przepaść!

Po upływie dwunastu dni drogi, nasi dwaj podróżni upadający prawie ze zmęczenia, stanęli w Bangalore. Żebrak zaprowadził Bramina do naszego pięknego kościoła w Blackpallé, tu bowiem ostatni miał znajomego w X. Wikarym, krajowcu. Ojciec Shanta z przyjemnością wysłuchał opowiadania młodzieńca, zachęcając go bardzo do wytrwania w szlachetnym zamiarze i odesłał go do mnie. Zaledwo Bramin wszedł do mnie, zaraz prosił o chrzest. Zacząłem mu tłomaczyć, że trzeba najprzód wyuczyć się zasad nauki chrześciańskiej oraz modlitwy. „Już umiem modlitwy“, odpowiedział mi na to, a na dowód powtórzył je. Następnie opowiedział mi o dwukrotnem objawieniu się Najświętszej Panny, błagając, ażebym go jak najprędzej ochrzcił. Poznawszy w nim wielką skromuość i prostotę, postanowiłem go odesłać do naszego seminaryum, ażeby się tam dokładnie przygotował do chrztu. Widziałem, że moje postanowienie niemiłą dla niego było niespodzianką, lecz poddał się temu rozporządzeniu.

Tu dopiero rozpoczęła się dla niego ciężka próba. W seminaryum życie jednostajne, odoso-

bnione, ściśle według reguły. Ogarnęła go tęsknota, zwątpienie opanowało tak, iż zupełnie stracił męztwo. A więc opuszcza seminaryum ze łzami wprawdzie, ale idzie do Ojca Shanta i błaga, ażeby mu udzielił trochę pieniędzy na drogę do rodzinnej wsi. Poczciwy kapłan przedstawia, uspokaja, zachęca, nareszcie i zarzuty mu robi, lecz wszystko bezskuteczne. Zanosił się od płaczu, ale powtarzał: „Muszę odejść, bo nie chcą mnie ochrzcić!“ Ojciec Shanta radził mu poczekać kilka chwil a potem wrócić. Nasz Bramin wyszedł i usiadł sobie pod kościołem, gdzie aż szlochał od płaczu.

Jeden z młodziutkich misyonarzy, Ojciec Correc, który właśnie uczył się w sąsiednim pokoju Ojca Shanta, wzruszony był smutkiem biednego młodzieńca, zabrał się do odprawienia koronki za niego, błagając, ażeby Najświętsza Panna powstrzymała tego, którego raczyła tak cudownie do nas przysłać. Jeszcze nie domówił pierwszego dziesiątka, kiedy młodzieniec jakąś nadprzyrodzoną siłą tknięty, wypogodzony wbiega, rzuca się do nóg Ojca Shanta, wołając: „Wracam do seminaryum, już nie odejdę...“ Istotnie powrócił i od tego dnia z przyjemnością tam pozostawał.

Tymczasem rodzina niezmordowanie śledziła za nim, niezadługo też dowiedzieli się, że poszedł do Bangalore w zamiarze zostania chrześcianinem. Sam ojciec udał się za nim do Bangalore, przyszedł wprost do nas i groźnym tonem zapytał mnie, czy wydam mu syna. „Syn twój, odpowiedziałem mu, nie jest więźniem, ani przykuty, za tem może iść z tobą, jeżeli taka jego wola; ja, nie wzywałem go, ażeby do nas przyszedł, nie będę też wypędzał, a jeżeli obstaje przy zamiarze przyjęcia nauki Chrystusowej, spełnię jego życzenie i ochrzczę go“. — „Zobaczymy! — odpowie-

dział groźnie i wszedł do seminaryum. Tu dopiero odbyła się scena, ojciec zarzucał synowi, że hańbi swoją rodzinę, przyjmując religię, która jedynie przypada ludziom podłej kasty, zaklina go, ażeby z nim powrócił do swoich, zagroził rzuceniem klątwy na niego, a nareszcie oddaniem całej sprawy w ręce policyi, itp. Młodzieniec wytrzymał tę straszną napaść z spokojem i uległością, ale stanowczo oświadczył, że nie wyjdzie. Ojciec do najwyższego stopnia rozgniewany, przywołał istotnie policyę. O ile nasz młodzieniec względem ojca zachował się z uszanowaniem i pokorą, o tyle wystąpił energicznie wobec urzędników władzy publicznej. Z właściwą ich plemieniu ironią przemówił: „Bardzo dziękuję, moi Panowie, za waszą fatygę, prawdziwie wielką uczyniliście mi usługę waszem przybyciem, obieram was za świadków mego zeznania: przybyłem tu z własnej woli, chcę zostać chrześcianinem. Mam lat ośmnaście; według prawa mogę sobą rozporządzać, a zatem, moją wolą jest tu pozostać“. Urzędnicy policyjni oświadczyli, że nic tu do czynienia nie mają i odeszli. Ojciec szedł za nimi w najwyższem oburzeniu. Wkrótce potem, w sam dzień świętego Franciszka Xawerego, nasz młodzieniec dostąpił łaski chrztu świętego. A ponieważ Ojciec Correc skuteczności odmówionej koronki na intencyę młodzieńca przypisywał nagłą odmianę w sercu katechumena, w onej chwili tak strasznej dla niego, przeto oświadczył, że chce być jego chrzestnym ojcem. Nowo ochrzczony dostał imię: Marya Franciszek Xawery.

Od dwóch lat już pełni urząd nauczyciela w szkole w Sattihally, zamieszkałego prawie wyłącznie przez chrześcian kastowych; nareszcie przed miesiącem zaślubił młodą Braminkę, wychowanicę klasztorną z Bangalore, także nowo ochrzczo-

ną. Rodzina zaś jego, niegdyś nienawiścią ku niemu pałająca, zdawała się obecnie przejednaną, jakoby stanowiskiem, zajmowanem wśród chrześcian i małżeństwem z Braminką ocalił był honor swej kasty. Jest nawet mniemanie, że niektórzy z jego krewnych są gotowi za jego pójść przykładem. Daj Boże, aby tak było! Bramini tak długo opór stawiający światłu świętej Ewangelii, oby nareszcie przejrzeli i poznali to, czem pogardzali. Oby Marya Niepokalana, której macierzyńskie pośrednictwo w tej historyi jaśnieje, raczyła swą opieką i pośrednictwem wspomagać sługę Syna swego. *Monstra te esse Matrem!*

Racz Ksiądz Dyrektor przyjąć wyrazy najwyższego szacunku i uległości, przez serce Jezusa i Maryi.

Jan Marya.
Biskup z Maïssour.

List do Najlepszego Boga.

Rodzice małej Anusi wczas umarli. Zaledwie miała lat siedem, gdy straciła ojca, a matka leżała ciężko chora. Często płacząc, stało biedne jedyne dziecko przy łóżku chorej. „Nie płacz, kochane dziecko“, mówiła matka cicho, „ufaj dobroci Boskiej, módl się i pracuj pilnie, dlaczegożby ciebie miał Bóg opuścić, jeżeli małym ptaszkom i zwierzątkom daje pożywienie“. Wkrótce potem umarła biedna kobieta.

Po śmierci matki gmina oddała Anusię do szewca łatacza, za oznaczonem wynagrodzeniem na utrzymanie. Dziecina była posłuszna i uczciwa, pracowała podług swoich młodych, słabych sił pilnie,

a pomimo to miała swoje czarne dnie. Nie mogła już do szkoły chodzić i często była bita i łajana przez szewca, oddającego się pijaństwa. „Ach! jakże inaczej miałam u moich kochanych rodziców“, wzdychało często biedactwo. Ale chociaż jeszcze była małem dzieckiem, udawała się do Pana Boga i do Najśw. Matki modliła się z żarliwością i całem zaufaniem.

Gdy pewnego dnia Anusia była znowu bardzo zasmucona, przysza jej myśl, aby do Kochanego Boga list napisać. List brzmiał jak następuje:

„Kochany Boże! Ty jesteś, jak mi to mama opowiadała tak często, bardzo bogaty i możny. Całe niebo i wszystko, co jest stworzone i cała ziemia do Ciebie należy. Ty możesz nawet w ten czas dopomódz, gdy żaden człowiek pomódz nie może. Ja nie mam już ojca ani matki, dlatego zmiłuj się nademną Kochany Boże i ratuj mnie.

Mała Anna u szewca N.“

Potem biedactwo zawinęło list, zawiesiło go u szyi kanarka, który był spuścizną po rodzicach, i wypuściło ptaszynę na wolność. I oto jak była dziecinna ufność wynagrodzona.

Pan N., bogaty kupiec, mieszkał w pobliżu i właśnie był w swoim pięknym ogrodzie, gdy kanarek tam przyleciał, usiadł na gałązce drzewa, i dał się z łatwością złapać.

Dziecinny liścik i zaufanie w Bogu wzruszyło pana N., kazał przywołać opuszczoną sierotkę, i z życzliwością wypytywał się o jej stosunki teraźniejsze i o jej zmarłych rodziców.

„Twoją matkę znałem“, powiedział zdumiony. „Gdy jeszcze byłem chłopcem, idąc do szkoły, upadłem na drodze, okrytej lodem i śniegiem, i złamałem nogę, Twoja matka, w niedaleko widzianym ztąd domu była służącą, właśnie powra-

cała z targu i usłyszała moje bolesne wołanie, pospieszyła ku mnie, pomogła mi powstać, i zaniosła z pomocą drugiej jeszcze osoby do domu. Mój ojciec chciał ją obdarować, ale nic przyjąć nie chciała, ciesząc się tylko, że na czas przyszła. Jakże ja się teraz cieszę kochane dziecię, że mogę mój dług wypłacić i to dobre, jakie mi twoja matka wyświadczyła, tobie wynagrodzić.“ Dobry pan N. wziął rzeczywiście biedną sierotkę do siebie, posyłał ją do szkoły i kazał ją wszystkich domowych robót uczyć.

Anna z swojej strony zyskiwała przez dobre zachowanie się i pilność coraz większą miłość swego dobroczyńcy i była jego pociechą w starości.

Leśna różyczka.

W ostatnim dziesiątku lat, żył w Rzymie dobry i czcigodny kapłan, którego rozrywką i szczególniejszą przyjemnością było biednym dzieciom katechizm wykładać. Nareszcie nagromadził tych malców do niewielkiej kapliczki po za wielkiem miastem, i odmieniając tygodniowo, podzielił ich, jeden tydzień dla chłopczyków, drugi dla dziewcząteк.

Pewnego dnia znajdowała się pomiędzy dziewczątkami, biedna mała sierotka, która jeszcze nigdy o Bogu, ani o Jego nieskończonej miłości i miłosierdziu nic nie słyszała. Nie chciała wierzyć, że kochany Zbawiciel tyle dla nas przecierpiał, gdyż nie miała pojęcia o miłości, będąc zupełnie opuszczoną i biedną. Po nauce poszła do księdza z pytaniem: „Jest-że to prawdą, że kochany Zbawiciel dla mnie tylko umarł?“ „Jezus nietylko dla ciebie umarł; On dla nas wszystkich ludzi swoje życie poświęcił“. „Czy On myślał o mnie żyjąc? a teraz czy on mnie widzi? Czy

zna moje imię?“, pytało wiedzy chciwe dziecko. Niezawodnie; kochany Zbawiciel myślał o każdym z nas umierając, wie jak się nazywasz, czy jesteś posłuszna i uczciwa, albo też czy jesteś niegrzeczna. Przygotowuje już miejsce w niebie dla ciebie, które sobie masz przez dobre zachowanie się zasłużyć“.

Te słowa utkwiły tak głęboko w sercu biednego, opuszczonego dziecka, że ich nigdy nie zapomniała i zupełnie się odmieniła. Z pieniędzy, które sobie przez sprzedawanie kwiatków zarobiła, kupiła mały krucyfiks, przed którym odmawiała swoje dziecinne modlitwy, i rozmyślała o dobrodziejstwach Zbawiciela. Chociaż jeszcze była dzieckiem, lubiała samotność, i mieszkała w kąciku rozpadającej się chaty, położonej niedaleko lasu, chroniąc się przed hałasem i niepokojem wielkiego miasta Rzymu. Dobry ksiądz pozwolił jej to robić podług upodobania swego, czuwając nad nią zdaleka sam i przez pewnych ludzi. Znana była imieniem „Leśnej różyczki“; każdy chwalił biedną opuszczoną sierotkę, która też co dnia stawała się więcej kochania godną, milszą i łagodniejszą. Leśna różyczka przygotowywała się do pierwszej Komunii św. z takim zapałem, że była wzorem wszystkim innym biednym dzieciom, które do swojego gorliwego dusz pasterza po naukę przychodziły. Łaska boża działała zadziwiająco po pierwszej komunii św. Gdy już przez cały tydzień nie widziano Leśnej różyczki, zaczęto się troszczyć, czy ją jakie nieszczęście gdzie nie spotkało, dzieci i dorośli spieszyli do małej; tam znaleziono kochane dziecko na posłaniu z twardego mchu, mały krucyfiks w rękach trzymające. Gdy podeszli bliżej, zobaczyli, że Leśna różyczka już nie żyła. Wielu zaczęło płakać, kapłan wszakże powiedział: „Nie płaczmy, moje dzieci, albowiem Bóg zabrał Leśną-różyczkę do siebie.

Pieśń o błogosławionym Janie Gabryelu.

Na melodyą pieśni o św. Wincentym a Paulo.

Dziś tryumf w niebie pośród Świętych mnóstwa,
Ze śpiewem niebian chwalmy męczennika:
Co dla Chrystusa więzy i męczeństwa
Znosi i cierpi, by zbawić grzesznika.

Janie pokorny, Bóg wybiera Ciebie,
Abyś niósł światło wiary w chińskie kraje:
Składając Bogu ofiarę ze siebie,
Idziesz i karcisz pogańskie zwyczaje.

Błogosławiony Chińczyków Patronie,
Spojrzyj na ludy, które chwalą Ciebie:
Spraw, byśmy z Tobą w niebieskiej koronie
Boga chwalili — czcili wiecznie w niebie.

Błogosławiony Janie, uproś Boga,
Aby nasz naród w ciężkiem utrapieniu,
Kiedy go ciśnie niedola tak sroga,
Powstał z swych grzechów, dążył ku zbawieniu.

Niech biedne nasze ukochane dziatki,
Zaślą modlitwę za pogańskie dzieci;
Niech serc ofiary złożą jako kwiatki:
Niech płacz, jęk sierót do ich usz doleci.

Patron to chińskiej obszernej krainy,
Modły dziś wznosi przed niebieskim tronem:
Dziś z nieba patrzy, widząc nasze czyny
Uwielbia Boga, wraz z zdobytym plonem.

Oby pogańskiej, nieszczęśliwej dziatwy
Największa ilość niebo otrzymała:
By polska dziatwa przez sposób tak łatwy
Swoją ojczyznę ich szczęściem wspierała.

Byśmy przez czyny, dzieła miłosierne,
Wzajem od Boga łaski odbierali;
Prowadząc życie w przykazaniach wierne:
W niebie, na wieki, Boga uwielbiali.

Chwała niech będzie Bogu w Świętych Jego,
Cześć Trójcy świętej niechaj będzie wiecznie;
Że nam pozwolił czcić Swego Świętego:
W jego opiece będziemy bezpiecznie. Amen.

Z KRAKOWA.

Kreślę tych parę słów w wigilią pielgrzymki z Krakowa do Kęt, podjętej przez kilkuset pątników ku uczczeniu pamięci wielkiego świętego Jana z Kęt, w pięćsetletnią rocznicę jego urodzin. Ta okoliczność przenosi myśl moją w inne czasy, szczęśliwe dla Polski, pełne wiary i obfite w przykłady cnót; w czasy, które wydały takich mężów, jak św. Jan, św. Kazimierz, bł. Jan z Dukli, bł. Izajasz Boner, bł. Szymon z Lipnicy, bł. Michał Gedrojć i t. d. Cały zastęp świętych uprzytomniał i przypominał ojcom naszym ciągłą i żywą łączność między Kościołem wojującym na ziemi a Kościołem tryumfującym w niebie, a poczucie tej łączności czyniło z nich katolików wielkiego ducha, których do żywego zajmowały sprawy i interesa P. Jezusa. Czy trzeba było bronić wiary św. przeciw zalewającym ziemie i kraje poganom, czy trzeba było iść wydobyć z przemocy bisurmańskiej krzyż św. i uświęcone przez niego miejsca i ziemie, czy trzeba było świątynie Bogu stawiać, — zawsze tysiące ludu spieszyły z ofiarą życia, mienia, spokoju domowego, a na ich czele szli królowie, książęta i szlachta. Znowu święte dziewice składały królewskie szaty i drogocenne klejnoty, aby przyodziane ubogą suknią zakonną, płonęły jak wieczna lampa przed majestatem Boga swoją czystością dozgonną, swoją modlitwą i pokutą. Modliły się za naród. A inne znów, strzegąc domowego ogniska, stały na straży cnót i bogobojnego wychowania, z którego święci wychodzili. Tak było w ówczas, kiedy w sercach naszych ojców płonął ogień miłości bożej. I gdzież

się te czasy podziały? Jak mróz zcina krew w człowieku, tamuje oddech i zabija: tak dzisiejsze zimne pod względem religijnym i obojętne wychowanie, jakie młodzież nasza odbiera nietylko w szkołach, ale często i w domu własnych rodziców, zabija w niej i niszczy wszelkie wyższe uczucia, miłość Boga, Kościoła i wiary. Dawniej młodzież szkolna wiązała się w pobożne stowarzyszenia i bractwa, a z nauką wzrastała w niej bogobojność i cnota: dziś jakże mało rodzice i wychowawcy podsuwają jej tę myśl, a w zamian za to, ileż im się stawia trudności. Dawniej dzieci od młodości nawykły słuchać opowiadania z żywotów Świętych, przykładów cnót i poświęcenia, nagrody i kary za dobre lub złe; nawykły widzieć, jak we wszystkiem miano na myśli Boga, jak sprawy Boże wszystkich zajmowały, jak od Boga zawsze zaczynano: dziś w wielu domach nie posłyszą dzieci żadnego słowa o Bogu. Młodzież pozbawiona wszelkich wyższych myśli, uczuć, pragnień, musi się zamknąć w sobie i zadowolnić tem, że o sobie tylko myśli i że siebie tylko kocha. I jakże z takiego wychowania mogą wyróść święci.

Kochani członkowie! Dzieło św. Dziecięctwa wskrzesiła Opatrzność Boża w Kościele św. na to, aby było szkołą prawdziwego, chrześciańskiego miłosierdzia; szkołą, w którejbyście się mogli uczyć od młodości cenić dobra, jakieście wzięli od Boga, a jakich nie ma tyle milionów ludzi. To szkoła P. Jezusa: „Pozwólcie dziatkom przyjść do mnie.“ Księgą w tej szkole są dusze, najświętszą ceną krwi odkupione; a w tej księdze jest napisane, że wszystko, co jest na tej ziemi, nie dorównywa wartością człowiekowi, że więc cały ten świat służyć nam powinien do osiągnienia Boga i zbawienia wiecznego, że uszczęśliwienie wieczne naszych bliźnich jest najpiękniejszem za-

daniem życia, że dla zbawienia jednej duszy nie można złożyć zanadto wielkiej ofiary, bo żadna nie wyrówna tej, którą P. Jezus okupił nasze własne dusze. Kto się nauczył na tej księdze czytać, ten znalazł skarb mądrości, o którym mówi mędrzec Pański: „Tę umiłowałem i szukałem jej od młodości mojej i przełożyłem ją nad królestwa i stolice, i bogactwa za nicem miał względem niej, a przyszły mi pospołu z nią wszystkie dobra... nieprzebrany bowiem skarb jest ludziom, którego, którzy używali, stali się uczestnikami Boskiego przyjacielstwa. Ta mądrość daje człowiekowi szczególną miłość do tego wszystkiego, co Bóg miłuje. Nasi ojcowie pełni byli tej mądrości, bo jej się od młodości uczyli, a nam jej tak wiele potrzeba, abyśmy się oprzeć mogli pokusom dzisiejszych czasów materyalnych, skąpych dla Boga, a wylanych na wszystko, kiedy chodzi o własną przyjemność. Kochajmy Dzieło św. Dziecięctwa, ono nas nauczy tej mądrości. P. Jezus oddając nam zapłatę za nasze miłosierdzie, które ratuje wieczne zbawienie bliźnich, oświeci przed oczyma naszymi światłem swej nieskończonej mądrości wieczne prawdy o zbawieniu, o cenie życia doczesnego, o życiu wiecznem, o obowiązkach, o cnocie i grzechu. Odczytajcie sobie, kochani członkowie, w obecnym roczniku na str. 123 list X. Blettery, a znajdziecie tam opis o dwóch pięknych duszach Magdaleny i Maryi. Czyż one nie przypominają nam tych wielkich świętych: Łucyi, Agnieszki, Agaty, Cecylii i Katarzyny, które podwójną koroną niewinności i męczeństwa ozdobiły skronie swoje i wzbogaciły niebo. I któż im do tego służył? Misyonarze i wy, kochani członkowie. Członkowie to Dzieła przyczyniają się codziennie do zbawienia tylu pięknych dusz, do uszczęśliwienia P. Jezusa, za co On im niewątpliwie odda łaską uświęcenia ich własnych

serc, da im mądrość świętych za przewodniczkę w tem życiu, a siebie samego za nagrodę w przyszłem.

Chciałbym teraz podać parę wiadomości o Dziele. Niewiele ich mam, bo zelatorowie niezawsze donoszą mi o stanie i rozwoju jego, ale i z tego, co do mnie dochodzi, jestem zadowolony i wielbię Opatrzność Bożą, która sama najwięcej działa i potrzebuje tylko trochę naszej usługi, a znajduje sobie serca zawsze nowe, gorliwe, po miastach i wioskach, gdzie Dzieło już było, lub od nowa powstaje. W Pelplinie młodzież sama się szereguje, nie brakuje między nią zelatorów i członków, co jeden ustąpi, to wnet na jego miejsce, jakby z pod ziemi, nowe siły wyrastają. Życzę im błogosławieństwa Bożego i nowemu zelatorowi powodzenia. Gdyby to i gdzieindziej zechciała młodzież zapisać się w ten sposób pod szandar P. Jezusa! W Poznaniu straciliśmy gorliwego zelatora w osobie W. X. K. L., ale nie wątpimy, że przeniósł na nowe stanowisko dawną miłość dla Dzieciątka Jezus. W. Siostry Miłosierdzia w Środzie i Kościanie pośredniczą między P. Jezusem a członkami i zelatorami Dzieła, z czego sprawa Boża dobrze wychodzi. Parafia w Skokach z czcigodn. swym zelatorem ukochała dzieło już oddawna, ale w tej miłości nie stygnie ani na chwilę — coraz daje nam dowody swej pamięci o nas w obfitych jałmużnach. Szlązk pruski możnaby nazwać szczęśliwą rolą, z której Zbawiciel zbiera obfite żniwo. Poczciwi Szlązacy, nie mogąc się wszędzie wiązać w kółka i serye, wynagradzają te braki chojną daniną przy każdej sposobności zetknięcia się z nami, a już celują Biskupice.

I u nas dobrze idzie. Buczacz, z drugiej strony Brody, dwa te krańcowe punkta ciągle się wysługują Dziełu. Obecnie zawiązuje się Dzieło w Je-

zierzanach pod opieką gorliwego zawsze zelatora sprawy P. Jezusa, X. J. S. Sambor, jedno z ostatnich zapisało się do Dzieła, ale swoją gorliwościè chce wyprzedzić wszystkie inne miasta, a to dzięki poparciu ze strony Przew. X. Proboszcza i staraniem tamtejszego zelatora p. Ruczaja, któremu też P. J. widocznie błogosławi. Jarosław podwójną jałmużną nas wspiera, bo groszem i piękną zawsze odezwą „do Dziatek“. W parafii Straszęckiej i w Dembnie w dyecezyi tarnowskiej, Dzieło kwitnie w całej pełni, liczba seryj zwiększa się z każdym miesiącem, niemal też co miesiąc odbieram ztamtąd składki. Niewielka parafia Szynwałdzka z Czcig. swoim Proboszczem X. A. Siemieńskim gorliwie i stale służy Dzieciątku Jezus a jej działalność możnaby przyrównać do deszczyku, który zwolna spada, ale przenika do gruntu serc, w których pod jego wpływem zakorzenią się cnoty chrześciańskie na długie lata. W Staniątkach, kółko gorliwych panienek idąc za przykładem starszych pracuje także w winnicy Dzieciątka Jezus i to nie leniwo, boby chciały z dziesięcioma talentami stanąć przed nim po zapłatę. Szczęść im Boże! Nie mogę i o Żywcu zapomnieć, gdzie W. W. Siostry Miłosierdzia skupiły około siebie sporą liczbę członków a niewymownie pięknym jest widok grona służących z szpitala św. Łazarza w Krakowie, które regularnie co miesiąc składają P. Jezusowi dziesięcinę z ciężko nabytego zarobku. Roztropność ewangeliczna nauczyła je pozyskiwać sobie przyjaciół w niebie, aby w swoim czasie znalazły w nich ucieczkę i ratunek. Czyńcie sobie przyjaciół z mamony niesprawiedliwości, aby, gdy ustaniecie, przyjęli was do wiecznych przybytków. (Łuk. 16. 9.) Wszystko to pocieszające są szczegóły, a jakkolwiek jeszcze nie zbyt liczne, przecież i za nie skła-

dajmy Bogu Najwyższemu cześć, chwałę i uwielbienie.

Składki od 1 Sierpnia do 25 Października 1890 r.

W. S. S. Felicyanki z Wieliczki z ochronki miejskiej 2 złr., P. Binkowska 1 złr., Od brata Jana 261 złr. 64 c., W. P P. Benedyktynki ze Sząniątek 12 złr., Z pensyonatu ze Staniątek 9 złr. Od kilku osób 4 złr. W. S. S. Miłosierdzia z Żywca 23 złr., Służba ze szpitala św. Łazarza 20 złr. p., J. Wicherek 3 złr., p. Bigański zelator 2 złr. 40 c., W. X. Ant. Opidowicz pb. w Sułkowicach 5 złr., W. S. S. Miłosierdzia ze szpitala św. Łazarza od kilku osób 11 złr. 50 c., X. St. Jarzyna od członków z Szaflar za r. 1890 7 złr.

W. X. T. Maryański z parafii Straszęckiej 14 złr. 94 c., W. X. Gawroński z parafii Dembno 30 złr., W. X. Kosaczyński z Wojnicza 8 złr. 80 c,

W. X. H. Górnicki od członków z Jarosławia 9 złr., W. X. Szura z Korczyny 2 złr. 50 c, Dornwald od członków z Sambora 26 złr. 36 c

W. X. Al Maryański z pensyonatu P. P. Sercanek 3 złr. 84 c., Z Tarnopola od B. Pap. 26 złr., W. X. J. Ścisłowski od dzieci z Buczacza 10 złr., W. X. Weredyński z Brodów 7 złr. 50 c, P. Hr. Lanckorońska 5 złr.

W. S. S. Miłosierdzia z Biskupic 14 m., T. Łukowity 20 m., J. Łukowita 20 m., J Kostka 20 m., A. Pastwa 18 m., Fr. Hadamik 20 m. 50 fen., O. Tyburcy 20 m., p. Fr. Kowaisch 22. m. P. Kałubowicz z Poznania 60 m., W. S. S. Miłosierdzia ze Środy 70 m., p. Aniela Grzelka z Gogolewa 10 złr. 87 c., przez X. Miruckiego 17 m. 50 f, W. X. Ussorowski w Skokach 65 m., p. J. Żurowski 200 m., p. S. Żelewska 24 m, p. F. Łowicki z Peplina 23 m., T. N. B. z Wilna 1 rs. Z parafii P. 89 rs. 75 kop., K. St. 10 rs., Zofia Jokisz z H. 17 rs., Zelatorka Michalina ze Żmudzi 10 rs., X. K. z W. 2 rs., P. Gwozdecka rs., 20 M. Hermann 3 m 50 f.

Ze składki w Kle. X. X. Misyonarzy 3 złr. 45 c.

W. X. K. Laskowski z Poznania 70 m.

W. S. S. Miłosierdzia od św. Wincentego ze Lwowa 22 złr.

W. X. Pr. Waw. Bednarz 50 fl.



L. 4048.

POZWALAMY DRUKOWAĆ.

Kraków, d 30 listopada 1890 r.

† A. Kard. Dunajewski.

2) Odpust zupełny dla członków znajdujących się na tej Mszy św'· która się odprawia za zmarłych członków Dzieła, pomiędzy 2 niedzielą po Wielkanocy a końcem maja.

3) Odpust zupełny w święta Patronów Dzieła, tj. w dzień Ofiarowania N. M. Panny, śś. Aniołów Stróżów, św. Józefa, św. Franciszka Ksawerego i św. Wincentego a Paulo, pod warunkiem przepisanym od Ojca św. — pomodlenia się o wzrost Dzieła św. Dziecięctwa.

Najprzewieleb. XX. Biskupi, a za ich pozwoleniem XX. Proboszczowie lub Dyrektorowie Dzieła mogą przenieść powyższe 3 Odpusty na inne miesiące i dni dogodniejsze.

4) Odpust zupełny (wypełniając warunki zwyczajne i odwiedzenie kościoła parafialnego) dla wszystkich zelatorów i zelatorek, kolektorów i kolektorek, dyrektorów i dyrektorek Dzieła, tak dla nich samych, jak dla ich ojców, matek, braci i sióstr w dzień rocznicy ich chrztu.

II. Odpusty cząstkowe.

1) Odpust 7 lat i 7 kwadragen dla wszystkich członków, którzy w święta i w ogólne Zebrania Dzieła św. Dziecięctwa zgromadzą się na uroczyste błogosławieństwo, udzielane w formie na ten cel przepisanej.

2) Odpust jednego roku dla członków Obrad i komitetów Dzieła już ustanowionych lub mających się ustanowić w jakiemś miejscu, za każdorazowe uczestniczenie na tychże zebraniach.

3) Odpust codzienny 100 dni dla każdego członka Dzieła św. Dziecięctwa, który jest przewodniczącym seryi, albo stara się nim zostać, pod warunkiem odmówienia modlitw Dzieła.

4) Odpust 100 dni dla dzieci i dla innych członków Dzieła, którz w dniu święta Bożego Narodzenia, albo stosownie do swego wyboru, w jednym z innych dni, czasu poświęconego na uczczenie Dziecięctwa Zbawiciela, odmówią po drugi raz przepisane modlitwy i złożą tego samego dnia na korzyść Dzieła, nakształt kolendy Dzieciątku Jezus, jakąś ofiarę — choćby bardzo małą — podwajając np. ofiarę miesięczną. Tego także odpustu mogą dostąpić nawet ci, którzy nie są członkami Dzieła, byle tylko w jednym z powyżej wymienionych dni złożyli wskazaną ofiarę i odmówili modlitwy Dzieła.

5) Odpust 40 dni dla każdego z członków Dzieła i dla każdej osoby zajmującej się w jakikolwiek sposób Dziełem św. Dziecięctwa, i to tylekroć, ile razy czynem albo słowem dopomoże do rozkrzewienia, ułatwienia lub obronienia tego pobożnego Dzieła, i ile razy będą się starali pobudzić przez nie innych do miłości Najśw. Dzieciątka Jezus i do żarliwości o zbawienie dusz ludzkich.

Uwaga I. — Jak odpustu jubileuszowego, tak wszystkich wyże wymienionych odpustów zupełnych mogą nawet dostąpić te dzieci, które jeszcze nie przyjęły 1 Komunii św. Ojciec św. uwalnia je od niej, byle tylko wykonały w jej miejsce inny jaki dobry uczynek oznaczony przez spowiedników, lecz nie uwalnia ich od spowiedzi, ani też od innych warunków.

Uwaga II. — Wszystkie powyższe odpusty zupełne cząstkowe można ofiarować za dusze w czyścu cierpiące.

Przywileje udzielone kapłanom-członkom Dzieła.

Każdy kapłan, będący Dyrektorem*) albo członkiem jakiejkolwiek Rady Dzieła, lub też przewodnikiem seryi, składającej się przynajmniej 12 stowarzyszonych, ma władzę:

1) Błogosławić poszczególnie i nadawać odpusty na małe i wielkie krzyżyki, statuetki, medaliki, różańce i koronki.

2) Może udzielać odpustu zupełnego w przypadku śmierci.

3) Ma odpust ołtarza uprzywilejowanego 3 razy w tydzień.

4) Może przywięzywać do krucyfiksów wszystkie odpusty Drogi Krzyżowej (z d. 18 stycz. 1883 r.).

5) Może wkładać szkaplerze: Karmelitański, Niepokalanego Poczęcia, Siedmiu Boleści N. M. P. i Przenajświętszej Trójcy w tych miejscowościach, gdzie niema klasztoru OO. Teatynów, Karmelitów, Trynitarzy i Serwitów.

Lecz ażeby korzystać z tych władz, które się skończą w lipcu 1893 r., trzeba się dopomnieć w Dyrekcyi Dzieła o dypłom, gdzie są spisane, i pokazać ją miejscowemu Biskupowi. (Reskrypt papieski z d. 19, 20 i 24 lipca 1879 r.).

Wszystkie listy i przesyłki pieniężne do Dyrektora prowincyonalnego adresować: Do Imci Księdza Dyrektora Dzieła św. Dziecięctwa P. Jezusa w Krakowie. Kleparz, Zgromadzenie XX. Misyonarzy. Nr. 19.

Uprasza się Zelatorów i czytelników łaskawie o nadsyłanie swych uwag, wydarzeń w Stowarzyszeniu, sprawozdań z rozwoju i czynności osobnych gałęzi — i cokolwiek posłużyć może do zbudowania wiernych i zachęcenia do gorliwości.

Kto chce dla siebie osobno prenumerować roczniki, płaci rocznie (za 4 zeszyty) 20 centów (40 fenigów).

---

*) Przez Dyrektora Dzieła rozumieć należy Proboszcza Parafii, w której ono zostało założone, lub też kapłana wyznaczonego przez niego, który go zastępuje. Dzieło natenczas jest w jakiej Parafii założone, gdy tam istnieje serya złożona przynajmniej z 12 stowarzyszonych.

Kraków. — Druk Wł. L. Anczyca Spółki, pod zarz. Jana Gadowskiego